EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 15 sierpnia 1933 R. | NR. 33 (46)

Podważanie fanatyzmu

Więzienie w latach kryzysu

Bijcie na alarm!

Filmy „niedozwolone"

Utwory „Przedmieścia"

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Listy do „Epoki".

AUTORZY: Waśniewski. Krahelska. Michałowski. Szpecht. Czarnowski. Jampolski. Nałkowska.

R

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

W IMIĘ SPRAWIEDLIWOŚCI

Paryski Komitet obrony ludności Indochin ogłosił następującą odezwę:

„Władze francuskie przygotowują nowy proces. Wszyscy jeszcze mają w pamięci słynny wyrok Saigonu, który skazał 8 Annamitów na karę śmierci, 19 na dożywotnie więzienie, a 79 innych na łączną karę 970 lat ciężkich robót.

„Obecnie nowy proces przygotowuje się w Indochinach. Prasa już donosi, że 80 Annamitów stawi się w sierpniu przed sądem. Ta krótka informacja oznacza dla 80 istot ludzkich groźbę więzienia, deportacji lub śmierci.

„W obliczu tej groźby, chcemy przypomnieć deklarację, złożoną 5 lipca delegacji naszego Komitetu przez p. Alberta Sarraut. Minister Kolonij przyznał wówczas, że odpowiedzialność za krew, przelaną w Indochinach w ciągu lat 1930 i 1931 ponoszą przedstawiciele Francji. Manifestacje ówczesne, nazwane przez władze „wywrotowemi zamieszkami" urządzane były przez nieuzbrojony tłum, zupełnie spokojny i nienapastliwy, który prosił o ulgi i redukcje podatkowe. Wystarczyło wysłuchanie ich próśb, aby tłum ten spokojnie się rozproszył. Winę za rozruchy i krew ponosi administracja kolonjalna, której nieodpowiedzialne postępowanie należy ukrócić.

„Niebezpieczeństwo, które zagraża znowu 80 Annamitom, kłóci się jaskrawo z umiarkowaniem i powściągliwością słów ministra. Odwołujemy się znów do opinji publicznej metropolji. Minister Kolonij winien dotrzymać swych obietnic.

„Zanosi się nawet w Kochinchinie, owym przysłowiowym spichrzu, na głód, który wywoła napewno niepokoje i demonstracje wynędzniałej ludności.

„W obliczu represyj, które szaleją w Indochinach, wzywamy ludzi dobrej woli do przyłączenia się do naszego protestu, aby nie dopuścić do nowych wyroków, aby osiągnąć uwolnienie politycznych więźniów Indochin i aby ujawnić prawdę o smutnych wydarzeniach, których Indochiny są dziś widownią".

HASŁO TRZECH K.

Sytuacja społeczna kobiety ulega w trzeciej Rzeszy radykalnej zmianie.

„Powołaniem kobiety jest macierzyństwo" — głosi nowy regime. „Szczytną misją kobiety jest odżywianie przyszłych, walecznych bojowników nowych, wielkich Niemiec" — woła z patosem oficjalny organ hitlerowców *Völkischer Beobachter*.

„Odrodzenie męskiej, heroicznej kultury Niemiec aryjskich wymaga uznania naturalnej wyższości mężczyzn, oraz zniszczenia absurdalnej teorji feminizmu" — pisze w piśmie *Der Ring* nowo-kreowany literat baron Evola.

Ciekawym przyczynkiem do kwestji „likwidowania feminizmu" jest zamieszczony w dodatku kobiecym berlińskiego pisma *Tempo* list zamężnej Niemki:

„Pierwsze lata poślubnego życia dały mi wiele zadowolenia i szczęścia. Od niedawna pożycie z mężem stało się jednak niemożliwe. Mąż mój zaczął mnie traktować jako „niższą istotę" i przekonywa mnie stale o „nadrzędnej i górującej roli mężczyzn". Codziennie wysłuchuję teoryj o wyższości mężczyzn, bez których my, kobiety — nie byłybyśmy zdolne do życia. Dla was — mówi mój małżonek — istnieją w życiu tylko trzy rzeczy: kościół, dzieci i kuchnia, co reasumuje w dewizie trzech K (Kinder, Kirche, Küche). Czem staje się w takich warunkach pożycie małżeńskie? Jedyne wyjście upatruję w rozwodzie — Anna T."

Redaktorka dodatku kobiecego odpowiedziała na list w poniższych słowach:

„Skarga Pani nie jest dziś odosobniona. Takich mężów mamy coraz więcej. Za każdym razem, gdy otrzymuję podobne listy, przypominam sobie opowiadania o Scytach starożytnych, którzy wykłuwali niewolnikom oczy, aby nic nie odrywało ich uwagi od pracy! Do niedawna postępowano tak ze słowikami. Oślepione, śpiewać będą bardziej wzruszająco — mówiono — i spełniać będą z większą gorliwością swe zadanie uprzyjemniania ludziom czasu.

„Są mężczyźni, którzy zahipnotyzowani hasłem potrójnego K, żyją w niebezpiecznem dla nas złudzeniu, że harmonja pożycia wymaga głupoty i ślepoty żony. Pogląd ten leży przedewszystkiem w interesie tych mężczyzn, którzy ukryć chcieliby przed żoną swoją zarozumiałą nicość".

AKOMPANJAMENT „ROZBROJENIA"

W dzikim kraju Badżauru, na granicy Indyj i Afganistanu, leje się krew Mohmandów. Cztery tysiące brytyjskich bagnetów maszeruje z Szabchadru na odsiecz Halimzajom, a londyński *Observer* przewiduje „małą wojnę" z mieszkańcami Badżauru.

W tym samym czasie, gdy Henderson wciąż jeszcze mówi o powszechnem rozbrojeniu, a Mac Donald marzy o wspólnocie ludów, angielski dowódca bombarduje z aeroplanów wioski powstańcze, Mohmandowie bowiem nie chcą wydać ukrywających się wśród nich agitatorów chana Charsów — „szalonego Fakira". Słusznie zaznacza *News Chronicle:* „Jeżeli bombardowanie tych miejscowości ma być moralnie słuszne, to i bombardowanie Londynu nie może być moralnie niesłuszne". Na cóż więc kilkumiesięczne obrady wszelkich „rozbrojeniowych konferencyj", jeśli je obala jedno zarządzenie angielskiego komendanta w Indjach?

TRUCICIELE LUDNOŚCI

W artykule p. t. „Truciciele ludności", pisze *Kurjer Poranny:*

„Duży dom przy Nowogrodzkiej 82. Tu mieści się Instytut Higjeny, a wśród jego działów — dział badania żywności i przedmiotów codziennej potrzeby.

Włosy stają na głowie, gdy się popatrzy na to olbrzymie zwierciadło w postaci tysięcy flakoników i próbówek, w których przegląda się sumienie tysięcy trucicieli ludności. Tak, trucicieli. Ohydnych fałszerzy wszystkich bez wyjątku artykułów żywności. Fałszuje się wszystko: mleko, masło, ser, miód, czekoladę, kawę, kakao, olej, oliwę, wędliny, lemonjadę, wodę sodową, kaszę, mąkę...

W domu przy Nowogrodzkiej 82 zbierają się i centralizują wszystkie podstępne oszustwa pseudo i nie pseudo fabrykantów przetworów żywnościowych, wszelkie dowody masowego trucicielstwa ludności.

Najwięcej mamy fałszowanego mleka, niefałszowanego prawie niema. Przynajmniej 5 proc. wody

znajdzie się zawsze prawie. Fałszerstwo to jest o tyle mniej niebezpieczne, że woda, o ile jest czysta, zdrowiu nie szkodzi. Ale te 5%, to nie bagatela, to nie drobiazg, bo wynosi to na Warszawę około 250 tysięcy litrów dziennie. Tylko 5%, które nawet trudno dostrzec, gdyż dopiero najnowsze aparaty badawcze są w stanie wykryć w mleku najmniejszą ilość wody. Ale przecież tej wody leje się i leje nieraz pół napół. Za wodę w mleku płaci Warszawa zawrotne sumy w miljonach złotych rocznie. Niejeden majątek powstał z tej właśnie wody.

Trochę gorzej jest z masłem. Prawdziwy produkt z krowiego mleka miesza się przeważnie z tłuszczem roślinnym, czy margaryną, co nie jest szkodliwe dla zdrowia. Ale oprócz tłuszczu roślinnego i margaryny, istnieje wiele innych przymieszek, nadających się do fałszowania masła. Masła, które nie jest czystem masłem, mamy w stolicy około 60%. Gosposie warszawskie nie umieją się po większej części poznać na autentyczności masła, i trzeba dopiero udać się na Nowogrodzką 82, aby ustalić wartość masła.

Lampa kwarcowa odróżni fałsz od prawdy, nadając prześwietlanym przedmiotom różne barwy.

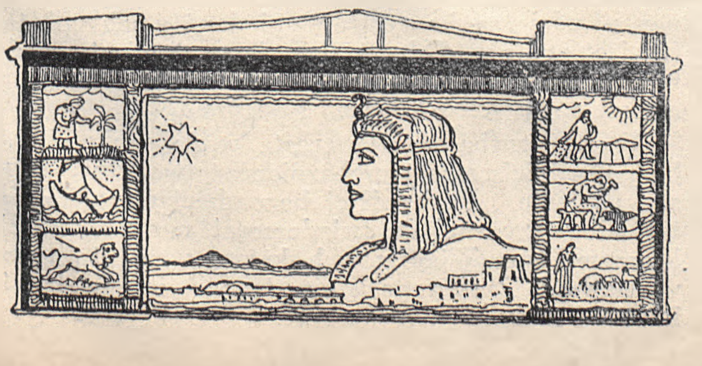
Przyprawy do potraw, jak: cynamon, pieprz, angielskie ziele i t. p. bywają fałszowane niejednokrotnie w pełnych stu procentach.

Gosposia często zamiast cynamonu dodaje do potraw tartą korę drzewną, nasyconą tylko odpowiednim zapachem. Lody śmietankowe, smaczne apetyczne lody, spożywamy z mąką, lemonjadę pijemy zafarbowaną trującemi barwnikami, wino owocowe i nieowocowe — z cukru, syropu, herbaty, kiełbasę, zwłaszcza tę siekaną—serdelki i parówki—z mąką."

NAGANKA NA AKTORÓW

Postępowanie niektórych dyrekcyj teatralnych z aktorami jest godne potępienia. Do ostatniej niemal chwili przed rozpoczęciem nowego sezonu, aktorzy nie wiedzą, na którym są świecie. Zwodzi się ich obietnicami, trzyma się w szachu, żeby potem narzucić warunki przymusowe, których — w dodatku — coraz częściej się nie dotrzymuje. Dyrektor teatru zasłania się małą frekwencją publiczności w ostatnim sezonie i na tej podstawie nie spełnia warunków kontraktu. Ale w sezonie poprzednim, kiedy było powodzenie, nie podwyższył przecież gaż aktorskich, ustalonych w kontrakcie. Nie ma też prawa gaż tych obniżać z chwilą zmniejszenia się wpływów. Niech zaczerpnie z dochodów poprzedniego sezonu.

Niektóre dzienniki atakują aktorów, im tylko przypisując winę w zatargach z dyrekcją. Opinja publiczna informowana jest przez te dzienniki tendencyjnie i fałszywie. Pod tym względem aktorzy stanowią w świecie pracy środowisko wyjątkowo pokrzywdzone.



PODWAŻANIE FANATYZMU

„Im więcej myślę o życiu ludzkiem, tem bardziej dochodzę do przeświadczenia, że za świadków i sędziów należy mu dać Ironję i Litość... To dwie dobre doradczynie — uśmiech jednej czyni nam życie miłem, łzy drugiej — uświęcają je nam".

Słowa powyższe wypowiedział jeden z największych pisarzy francuskich zeszłego stulecia — Anatol France. Umierał w czasach, gdy pobłażliwy uśmiech mędrca stawał się anachronizmem. Już przez powojenny świat szły pierwsze powiewy fanatyzmu narodowego i społecznego, mające skłócić całą Europę, wydać Lenina, Il Duca, Führera i wreszcie zapłonąć na publicznych placach ponurym stosem niszczonych książek.

Anatol France nie dożył tej chwili. Los oszczędził mu widoku spływania coraz gęstszych mroków na kulturalny świat... Nie patrzył na to, gdy znaczne odłamy inteligencji zdradziły sztandar ideałów cywilizacyjnych i zaciągnąwszy się w służbę różnych, wrogich sobie obozów, miotają na siebie wymysłami, stwarzając tanie hasła zbawienia świata i ojczyzny à la minute, i jeszcze bardziej fanatyzując ogarnięte szałem masy.

Być może, że w obecnej chwili France byłby anachronizmem. Jakże się tu bowiem sceptycznie i wyrozumiale uśmiechać — powie ktoś — w czasach kruszenia się podstaw dotychczasowego bytu społecznego i politycznego, gdy raz w raz do świadomości naszej dochodzą odgłosy tragedji, której imię nędza i głód? Czyż można zdobyć się na pobłażliwość w epoce grasowania bestji ludzkiej, co przełamawszy skorupę cywilizacji, hula bezkarna, a nawet podziwiana za swój rzekomy hart, bezwzględność i „męskość"?

A jednak...

A jednak sądzę, że rola prawdziwej inteligencji polega dzisiaj w stokroć silniejszym stopniu, niż dawniej, na podważaniu i druzgotaniu fanatyzmu. Czternaście miljonów gęb, wyjących: „Heil Hitler!" napewno nie ma ani krzty poczucia humoru, a nawet rzeczywistości. W ich tępych mózgach, ani na chwilę nie zajaśniał promień sceptycyzmu, i ten właśnie brak umiejętności krytycznego spojrzenia pogrążył Niemcy w otchłani barbarji.

Któż zaś ma się zdobyć na krytycyzm, jak nie inteligencja? Trzeba tylko mieć odwagę i ambicję odegrania tej roli, jaką z racji swego istnienia i swego stanowiska inteligencja odgrywać powinna! Z ust dzisiejszych snobów i snobinetek coraz częściej się słyszy powiedzonka o „zgniłym inteligencie", o jego „czułych nerwach" i przeciwstawia mu się rosyjskiego proletarjusza, który potrafił się rozprawić z demokratycznemi złudzeniami „zgniłego Zachodu". Wyzuci z ambicji przynależności do prawdziwie twórczej klasy społecznej, snoby polityczne zapominają, że wszystko, co wielkie w dziejach — nie wyłączając rewolucji bolszewickiej — jest dziełem inteligencji i że ona stwarza tę atmosferę opinji publicznej, w której dojrzewać i rozwijać się mogą zdarzenia historyczne. Ona — nie kto inny — ponosi w znacznej mierze odpowiedzialność za bieg wypadków i ona ma dziś obowiązek łagodzenia wszelkiego rodzaju szałów i zapędów zfanatyzowanych mas.

J. Waśniewski

S. O. S.

Artykuł poniższy zamieszczony został w ostatnim zeszycie czasopisma *Paneurope*, redagowanego przez R. N. Coudenhove - Kalergi. W chwili obecnej ten rozpaczliwy i gorący apel wydać się może głosem wołającego na puszczy. Przytaczamy te wywody, jako wymowny dokument naszych czasów. Hasłu Stanów Zjednoczonych Europy przeczy dzisiejsza rzeczywistość polityczna i z tej racji można je uważać za „nieaktualne". Wszelako dzień każdy wskazuje, że owa rzeczywistość pod żadnym względem nie zmierza w kierunku politycznej i gospodarczej naprawy życia Europy, lecz — przeciwnie — prowadzi nas do rozkładu i chaosu. Hasło Stanów Zjednoczonych Europy, dziś „idealistyczne" i „nierealne", może się okazać w przyszłości jedynem wyjściem z wielkiego impasu dziejowego, w jaki wtłoczyła nas polityka nacjonalistyczna. Nie należy dyskwalifikować haseł, wybiegających w dalszą przyszłość, zwłaszcza w czasach, kiedy programy „aktualne" i „realne" przynoszą tyle najcięższych rozczarowań.

Wśród chaosu, zmożona nędzą, miotana nienawiścią, Europa zmierza ku nowej wojnie. Żaden mąż stanu nie chce tej wojny, lecz żaden nie zwalcza jej szczerze. Klęska Konferencji Rozbrojeniowej jest groźnym sygnałem niebezpieczeństwa, jest ultimatum, wystosowanem przez Europę pod jej własnym adresem, jest bankructwem rozumu politycznego, wojną zdecydowaną pomiędzy... pokojem a wojną.

***

Czy rozum obudzi się w ostatniej chwili? Czy zwycięży nienawiść i namiętność? Pytania te przyspieszają tętno tysięcy serc. Pesymiści uważają wojnę za nieuniknioną, optymiści żywią nadzieję, że da się uniknąć. W rzeczywistości, przestrzeń pomiędzy morzem Bałtyckiem a Śródziemnem usiana jest tyloma punktami zapalnemi, że nikła iskierka rozpętać może pożar, jakiego świat jeszcze nie widział.

Walka pomiędzy pokojem a wojną już się rozpoczęła: w umysłach i sercach narodów i mężów stanu. Psychoza wojny owładnęła młodem pokoleniem, pokoleniem powojennem, które nie przeżyło wojny w okopach, lecz na ławkach szkolnych, które nie zna walki, ale tylko jej echa bohaterskie, nie przeczuwa grozy, która czai się poza błyszczącą fasadą.

Ta żądza czynu i chwały podwaja swą siłę wskutek klęski bezrobocia. Nastroje militarne wzmagają się. Nakazy rozumu potępiają wojnę. Lecz nowa mistyka europejska pogardza rozumem, nowa Europa buntuje się przeciwko niemu. Narody europejskie zmierzają ku krwawej i śmiertelnej mecie. Padają ofiarą zachłannych namiętności.

Europa stacza się po pochyłości. Bierność prowadzi nieuniknienie do wojny, jedynie najbardziej wytężona aktywność utrzymać może pokój. Jeśli życie polityczne pozostawione będzie swemu swobodnemu biegowi, huk dział i armat zagłuszy wkrótce Europę. Mężowie stanu Europy nie powinni bawić się w odgadywanie osoby podpalacza, lecz szukać postaci, która stłumi pożogę. Lont już dymi. Nadszedł najwyższy czas, by znalazł się człowiek, który potrafi zdusić płomienie. Europa wzywa człowieka, którego walka z wojną umożliwi zwycięstwo pokoju.

Każdego dnia dzienniki mogą donieść o wydarzeniu, którego konsekwencje będą równie groźne, jak ultimatum Austrji do Serbji, o wydarzeniu, które będzie nagłym skokiem w bezdeń i katastrofę. Każdy europejski mąż stanu musi uprzytomnić sobie, jak postąpi w rozstrzygającej chwili, by go nie zaskoczyła i nie obezwładniła, jak polityków fatalnych dni r. 1914-go.

Jeden tylko człowiek wiedział wówczas, co czynić. Był nim Edward Grey, brytyjski minister spraw zagranicznych. W ciągu krytycznych dni, które upłynęły pomiędzy ultimatum austrjackiem, a wybuchem wojny, wezwał Europę na konferencję, która nie miała się ograniczyć do załatwienia konfliktu austro - serbskiego, lecz zapobiec w przyszłości wojnie europejskiej.

Odmowa, jaka spotkała ten projekt Konferencji, okupiona została życiem dziesięciu miljonów Europejczyków i skazała setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci Europy, Ameryki, Azji, Afryki i Oceanji na cztery lata tortur.

Konferencja europejska zebrała się, lecz z pięcioletniem opóźnieniem. Pomiędzy projektowaną Konferencją londyńską a Konferencją paryską rozegrała się wojna światowa. To, co było możliwe przed wielką wojną stało się niemożliwe po niej: przegrano sprawę pojednania europejskiego.

Europa znowu znajduje się w obliczu wojny. Powinna zastanowić się, jaki obrót wzięłyby wypadki dziejowe, gdyby Konferencja Pokojowa toczyła swe obrady nie w roku 1919 lecz w 1914, nie po wojnie, lecz przed nią.

Czy nie jest zapóźno, by zapobiec drugiej, światowej katastrofie? Jest jeszcze czas na zwołanie prewencyjnej konferencji pokoju. Jutro — być może— będzie zapóźno.

Europa wie, na jakiej drodze może osiągnąć trwały pokój. Mężowie stanu dawno zdali już sobie z tego sprawę. Wszelkie inne próby zawiodły. Wszelkie inne drogi prowadzą do impasu. Wielką ideą kierowniczą pokoju europejskiego jest Paneuropa.

Ta idea Federacji Stanów Europy z wspólną polityką zagraniczną, wspólną armją i gospodarką jest jakby światłem i drogowskazem orjentacyjnym w ciemnościach chaosu kontynentalnego. Żaden rozsądny polityk nie wątpi już, że tylko ta idea przywrócić może mieszkańcom kontynentu pokój, szczęście i wielkość.

Brak jeszcze mężom stanu odwagi, by przejść od myśli do czynów. Brak im jeszcze rozpędu, który przełamie bezwład dotychczasowych posunięć politycznych. Jedynie presja wielkich wydarzeń i groźba bezpośredniego niebezpieczeństwa może ich zmusić do aktu zjednoczenia Europy. Czas pracuje dla nas. Ludzie są konserwatywni dopóty ich położenie jest znośne. Gdy staje się natomiast nie do zniesienia, rozpoczynają swe funkcje wola i mózg, szukając nowych rozwiązań i decyzyj.

Wraz z groźbą wojny wzrasta wola pokoju. Im bezpośredniejsze jest niebezpieczeństwo, tem bliższe ocalenie. Im bardziej beznadziejne są czasy, tem silniejszy apel do świadomości narodów i ich kierowników. Wielu z tych, którzy wczoraj jeszcze wyśmiewali Paneuropę, stają się dziś jej zwolennikami. Przekonał ich nie rozum, lecz kryzys.

Niebezpieczeństwo konsoliduje front europejski. Ponad wszelkiemi sprzeciwami polityki wewnętrznej i rozbieżnością polityk zewnętrznych, chcemy zrealizować wielką ideę wspólnoty. Chcemy stawic czoło wojnie i chaosowi, które nam zagrażają, wraz z idealistami i realistami, wraz z Europejczykami wątpiącymi i entuzjastami.

Zbliżają się miesiące decydujące. Nadejdzie dzień, w którym Europa ujrzy się nad brzegiem otchłani bezdennej. W tym dniu opamięta się Europa. W tysiącach różnych miejsc rozlegnie się wówczas krzyk o Paneuropę! W tysiącach miejsc zażądają ludzie pokoju — prawdziwego, pewnego, sprawiedliwego i trwałego.

Pod nieodpartą presją wydarzeń mężowie stanu zbiorą się na wielką konferencję europejską, która będzie Konstytuantą Stanów Zjednoczonych Europy. Nad brzegiem otchłani nastąpi wzajemne zbliżenie narodów z chwilą, gdy uświadomią sobie alternatywę wyboru pomiędzy wojną a Paneuropą. Europa obudzi się tedy w szczytowym momencie kryzysu. Śmiertelne niebezpieczeństwo zjednoczy Europę.

Krok decydujący w kierunku Paneuropy uczyniony będzie nagle w rozstrzygającej godzinie wybuchu wojny. Ta godzina już wybiła, ponieważ dzisiejsza sytuacja Europy nie może dłużej trwać w obecnym stanie. Musi ona doprowadzić do śmierci lub uzdrowienia, do wojny lub zjednoczenia.

Niema czasu do stracenia. Powinny już rozpocząć się przygotowania do wielkiej konferencji pokoju. Zdoła ona ocalić Europę. Może jeszcze przeszkodzić drugiej katastrofie wojennej. Powaga chwili wymaga działania. Ten, który się waha, ponosi część odpowiedzialności za przyszłą wojnę. Będziemy ocaleni, jeśli złożymy dowód odwagi, zdecydowania i rozległego widzenia spraw przyszłości. Dlatego żądamy od mężów stanu natychmiastowego działania.

Żądamy zwołania konferencji dla utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy.

PRZYCZYNKI DO SPRAWY REFORMY OBYCZAJÓW

WIĘZIENIE W LATACH KRYZYSU

Problemat więzienia zajmował bodaj w każdej epoce wiele umysłów, nietylko prawników, społeczników, pisarzy, myślicieli. Problemat ten przełamuje się tysiąckrotnie w umysłach ludzi, siedzących w więzieniu. Człowiek uwięziony przez czas dłuższy, a myślący cokolwiek krytyczniej, zdobywa określony pogląd na więzienie. Czas, przebyty w rosyjskich więzieniach przedrewolucyjnej Rosji, pomógł mi do ustalenia następującego poglądu: dla więźniów t. zw. ideowych, politycznych i innych (np. sekciarze religijni, przeciwnicy militaryzmu i t. d.) więzienie bywa w przeważającej ilości wypadków szkołą hartu ducha, woli, charakteru; dla więźniów t. zw. kryminalnych — szkołą wszelkiej możliwej demoralizacji. Na ten temat sensu więzienia możliwa jest dyskusja tylko pomiędzy ludźmi, którzy osobiście, w charakterze więźnia, przebywali przez czas dłuższy w więzieniu: ci bowiem tylko znają dokładnie mnogie przemiany i przeobrażenia, jakim ulega psychika więźnia tej i innej kategorji. Człowiek, który nigdy sam nie siedział za kratą, będzie mówił o wpływie, znaczeniu i sensie więzienia, jak ślepy o kolorach.

Nie mam zamiaru w tym artykule uzasadniać dalej swego ogólnego poglądu na więzienie. Interesuje mnie w tej chwili sprawa więzienia w epoce kryzysowej. Jest to bowiem prawie samodzielne, odrębne zagadnienie.

Jaki wpływ wywiera tu kryzys gospodarczy?

Gdy porównamy lata 1929 i 1932, zobaczymy wybitny wzrost zaludnienia naszych więzień. W r. 1929 ogólna liczba więźniów wynosiła 25.073, zaludnienie więzień w stosunku do ich pojemności stanowiło 71,9%. W r. 1932 — liczba więźniów wzrosła do 37.992, a stosunek zaludnienia więzień do ich pojemności stanowi 98%, czyli — wzrost o 26,1%. (Liczba więzień w tym okresie zwiększyła się tylko o 3,7%, z 332 w r. 1929 do 345 w r. 1932; dane te czerpiemy z Małego Rocznika Statystycznego — r. 1930 i r. 1933, str. 144 i 152).

Wzrost zaludnienia więzień w obserwowanym okresie nie wynika ze wzmagającej się skłonności obywateli Polski do konfliktów z prawem, ani też bynajmniej z rozwijania się jakichbądź cech, czy instynktów, ułatwiających popełnianie t. zw. przestępstw. Niestety, publikowane dane statystyczne nie pozwalają na analizę poszczególnych kategoryj więźniów pod kątem stosunkowego wzrostu różnych kategoryj przestępców. Wprawdzie dane za r. 1929 podają, że polityczni w stosunku do ogólnej liczby stanowią około 10%, ale dla r. 1932 nie mamy już podziału na kategorje. *Niewątpliwie jednak olbrzymią większość więźniów w każdym z obserwowanych lat stanowią ci, którzy wykroczyli przeciw własności.*

Otóż jakkolwiek, wobec brzmienia paragrafów prawa, nie można ich traktować inaczej, niż przestępców, względnie: winnych wykroczeń przeciw obowiązującym przepisom prawnym, merytorycznie jednak, w świadomości własnej i dużej części społeczeństwa są to jedynie ofiary kryzysu i bezrobocia, ofiary katastrofy gospodarczej, jaką przeżywamy na przełomie ustrojów.

Gdy rzucimy okiem na liczby więźniów w różnych częściach Rzeczypospolitej, zauważymy, że najsilniej wzrosła liczba więźniów w województwach zachodnich i centralnych, gdzie mamy największe ośrodki bezrobocia: w łódzkiem, kieleckiem, śląskiem.

Dla województwa łódzkiego znajdujemy trochę liczb u Konrada Wrzosa w jego reportażu z podróży po Polsce p. t. „Oko w oko z kryzysem". Podaje on, że w r. 1929 popełniono na terenie województwa 38.901 przestępstw t. zw. pospolitych, zaś w r. 1932-gim — 51.560 (str. 155); są to przeważnie drobne kradzieże przedmiotów spożywczych, wogóle przedmiotów pierwszej potrzeby. Zresztą zależność pomiędzy konjunkturą gospodarczą, a liczbą przestępstw przeciw własności i przestępstw, popełnianych z nędzy, jest całkiem jasna i bywała już niejednokrotnie poddawana analizie przez ekonomistów, badających kryzysy ubiegłego stulecia. Z badań, przeprowadzanych w roku ubiegłym dla Instytutu Spraw Społecznych, widać całkiem wyraźnie tę zależność. Korzystając z danych Wydziału Statystycznego Magistratu Warszawy zestawiliśmy

dane liczbowe o przestępstwach i wykroczeniach przeciw własności w Warszawie, porównywując w tym celu rok najlepszej konjunktury gospodarczej (1928) i lata kryzysu (1931, 1932). Otóż kradzieże zwykłe (w tej liczbie — kradzieże produktów spożywczych) wzrosły w tym okresie o 43%, kradzieże kolejowe (np. węgla) — o 90%. Przestępstwa, popełniane z nędzy — podrzucanie dzieci — wzrosły w tym samym okresie o 33%. (Liczby te naświetlaliśmy już w „Epoce" w artykule „Przeobrażenia w psychice mas", Nr. 8 r. b.).

Jeszcze znaczniejszy wzrost liczby dzieci podrzucanych wykazuje Łódź. Według sprawozdania Zarządu Miejskiego Łodzi za lata 1928 — 1932, w liczbie dzieci, któremi zaopiekował się Wydział Opieki Społecznej podrzutków było w r. 1928-ym — 16,9%, zaś w r. 1932-ym — 38,0%. („Samorząd m. Łodzi", Łódź, 1933, str. 127).

Z badań bezpośrednich w środowisku bezrobotnych uzyskaliśmy takie dane, jak np., że z liczby 122 rodzin bezrobotnych górników, w 76 rodzinach opalano mieszkanie węglem, zdobywanym w drodze nielegalnej, a więc albo — przywłaszczanym, albo wykopywanym w t. zw. bięda-szybach, t. j. na cudzych terenach. „Pamiętniki Bzrobotnych", wydane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego, świadczą również wymownie o tem, jak często przestępcą, a w konsekwencji — więźniem, okazuje się człowiek, nic wspólnego nie mający z naturą czy skłonnościami przestępcy, jest to tylko ofiara kryzysu.

Wynika stąd, że wobec kryzysu i jego działania podważa się — w ogromnej ilości wypadków — sens i celowość więzienia. Więzienie — tak mówią jedni — ma ukarać. Ma ukarać człowieka, który kradł chleb lub węgiel dla dziecka, chorej żony, wreszcie— ukradł z głodu. Więzienie — mówią inni — wcale niema na celu karać, lecz poprawiać. Ale w stosunku do takich ofiar kryzysu i bezrobocia poprawianie nie ma miejsca, gdyż mogą to być ludzie najlepsi, najlepszej woli do pracy, najbardziej nadający się do współżycia w gromadzie ludzkiej w normalnych warunkach. Ujmując rzecz w kategorjach słuszności społecznej niema potrzeby poprawiania w więzieniu takich ludzi.

Z drugiej strony, więzienie ma w wielu wypadkach *siłę przyciągającą* dla ofiar kryzysu. Są przecież ludzie, pozbawieni dachu nad głową w miesiącach zimowych, nocujący na schodach, w dziedzińcach pod otwartem niebem, w niszach zewnątrz domów. Czyż dach nad głową dla ludzi w tych warunkach nie jest dostateczną atrakcją? A głód? Możliwość zabezpieczenia sobie tą drogą codziennej, ciepłej strawy?... Znam dziewczynę, która poprostu tem motywowała swoje „pójście" do więzienia: „Zmęczyłam się, nigdy nie jeść nic gotowanego... w środku był zawsze ból... wszystko jak skręcone... ukradłam, żeby mogli mnie zamknąć, żebym mogła wreszcie dostawać jeść... choć jakiś czas... codziennie..." Człowiek zgłodniały, zgnębiony, rozumujący tak, jak ta dziewczyna, nie wie jeszcze o tem, że po wyjściu z więzienia przylgnie doń piętno, zobrazowane tak wstrząsająco w dziejach kapitana z Koepenick: piętno, które powrót do życia normalnego niesłychanie utrudnia, czasem — uniemożliwia...

...Powstaje tedy błędne koło. Więzienie staje się izolacją wydziedziczonego z najelementarniejszych potrzeb człowieka, izolacją jego od... biernej reszty ludzi, która dopuszcza istnienie i utrzymywanie się takich przyczyn trafiania do więzienia. Rzecz wcale nie jest prosta. Znałam w Rosji, w Kijowie, naczelnika więzienia, który matce mej tłomaczył, że to nicponie, „ot nieczewo diełat", ot — z rozpusty, bałamuctwa, wolą siedzieć w więzieniu, bo tam karmią i płacić za mieszkanie nie trzeba. Może i w Polsce niejeden sobie tłomaczy tę rzecz w tak kretyński sposób. Ale znałam również w dalekiej Tule urzędnika administracji więziennej, który zrozumiał samorzutnie, że amatorzy noclegów i kuchni więziennej w przeważającej liczbie mogą być nie nicponiami, a jeno ofiarami niesprawiedliwego ustroju.

Jeżeli problemat więzienia wogóle jest bardzo skomplikowany i nie jest łatwem jego rozwiązanie, to więzienie wobec kryzysu i statystyki wzrostu przestępstw w latach kryzysowych ułatwia ustosunkowanie się do tej sprawy w tym ograniczonym zakresie. Należy więc stwierdzić: więzienia nasze (i wszelkie) zapełniają się w latach kryzysowych ofiarami kryzysu, bezrobocia, nędzy, wchodzącemi w konflikt z prawem tylko dlatego, że prawo nie umie dostatecznie rozgraniczyć motywów wykroczeń; izolacja tych ludzi od społeczeństwa nie jest społeczeństwu potrzebna, nocleg i strawa dla nich powinny być znalezione w innej drodze.

***

Kodeksy karne rozmaitych państw przewidują pewne „ulgi" przy traktowaniu przestępstw i wykroczeń, popełnianych z nędzy. Również nasz nowy kodeks karny, w przepisach o przestępstwach przeciw mieniu (w § 2 art. 257, § 4 art. 262). W obu wypadkach powiedziano, że „sąd może" złagodzić, nawet zwolnić od kary, jeśli przestępstwo popełniono z nędzy. Czy nie byłoby też rzeczą słuszną nie obwarowywać przepisów o przestępstwach tego rodzaju szczególnie surową sankcją karną? Powstaje również pytanie, czy ludzie, wychowani w bałwochwalczej czci dla pojęcia własności, potrafią korzystać z uprawnień, zawartych w podanych paragrafach, czy potrafią dopatrzeć się konieczności łagodzenia kary, lub uwalniania od niej, gdy idzie o ofiary kryzysu, nędzy, bezrobocia?

Bogate a smutne doświadczenie, jakie zdobył każdy inspektor pracy, obserwując rolę sądów we wprowadzaniu w życie ustawodawstwa społecznego, nie świadczy bynajmniej o łatwości wczuwania się sądu w psychikę wydziedziczonego i wyzyskiwanego człowieka: a przecie tam się miało do czynienia z robotnikiem, obywatelem o niekwestjonowanych pełnych prawach, tu zaś — z przestępcą przeciw dzisiejszemu pojęciu własności.

***

Kryzys dokonywa (chcemy, czy nie chcemy) — wielkich zmian i przeobrażeń zarówno w formach życia, jak i w psychice mas. Ulegają wielkim zmianom różne tradycyjne i dawniej bezsporne pojęcia. W tych dniach ktoś uczciwy i myślący pisał w artykule p. t. „Co zrobić z handlem ulicznym?", że ci ludzie, których policja *musi* ścigać i pędzić, *musi* karać, nie popełniają w rozumieniu społeczeństwa przestępstwa: nie mogąc znaleźć normalnej pracy w swym zawodzie, próbują zarobić na nędzną egzystencję sprzedażą różnych drobnych przedmiotów na ulicy, a że naprawdę nie stać ich na opłacanie patentu i t. p., wchodzą ustawicznie w kolizję z obowiązującem prawem. Skoro to im się odbiera, to co możemy im doradzić? Samobójstwo? Jedyne „god-

ne" wyjście?! — W Krakowie i innych miastach uniwersyteckich akademicy, nie mogący znaleźć pracy, pozbawieni wszelkich środków do życia, dobierają się grupami, grają i śpiewają po ulicach, zarabiając tym sposobem na życie... „Kto co da... co łaska". Powstają zastrzeżenia... Jakto więc poprostu uprawiają żebractwo? Biorą jałmużnę? Straszne słowo...

Straszniejsze jest stale nie jeść. Dobrze, hodujmy godność, nie dozwólmy, żeby akademicy *tak* zarobkowali. A co im doradzimy? Znów samobójstwo? Śmierć głodową?

Ale przeciw takiej radzie wzdryga się sumienie ludzkie, powstaje opinja społeczna. Śmierć albo więzienie? Za co? za to, że człowiek nie ma co jeść?

Wyjście z tego błędnego koła może się znaleźć tylko na drogach, prowadzących do tych zmian ustrojowych, które zabezpieczą każdemu człowiekowi minimum utrzymania, obok zapewnienia pracy, jako warunku egzystencji.

Halina Krahelska.

O D G Ł O S Y

ŻAŁOSNY POZIOM

Prawdziwa rewelacja: masonerja odwraca się od haseł demokracji, porzuca zasady wolności, równości, sprawiedliwości, zwija swoje starodawne sztandary i — dla zachowania potęgi i władzy — wypowiada się za programami faszystowskiemi, a może przystąpi do hitleryzmu...

Rewelację tę przynosi osławiona *Myśl Narodowa* w artykule p. t. „Masonerja i demokracja". Autor artykułu, p. Stanisław Kozicki, ogłasza, że — „jak się okazuje" — „w lożach właśnie odbyła się ewolucja poglądów na metody rządzenia państwami".

Jakże się to „okazuje"? P. Kozicki przytacza następującą cytatę z czasopisma paryskiego *La Revue internationale des Sociétés Secrètes:*

„Rozumiejąc, iż jest dowodem większej zręczności zużytkowanie pewnych wielkich prądów, niż usiłowanie położenia im tamy, masonerja nie zawaha się porzucić haseł demokratycznych, byle zachować władzę w swem ręku".

Tak się właśnie „okazuje": na podstawie opinji tego czasopisma, którą p. Kozicki uważa za miarodajną.

Rewelacja byłaby rzeczywiście interesująca, gdyby nie ważny szczegół: owa *Revue* jest czasopismem antymasońskiem, od wielu już lat zwalczającem masonerję sposobami moralnie nie lepszemi, niż te, których trzyma się *Myśl Narodowa:* kłamie metodycznie, opowiada o masonerji duby smalone, zbiera i ogłasza wszystkie najbardziej niedorzeczne plotki, powtarza niecne insynuacje.

Poprawka: *Myśl Narodowa* stoi intelektualnie jeszcze niżej. Oto taki choćby przykład z n-ru 33-go: redaktor *Myśli Narodowej* pisze całkiem serjo, że „ceremonjał rytualny podczas przyjmowania do loży" wymaga... „całowania mopsa". On w to naprawdę wierzy.

Żałosny poziom! Samo dno.

BIJCIE NA ALARM

W notatce p. t. „Płonne obawy uczonych niemieckich", pisze *Gazeta Warszawska:*

„Niedawno ukazała się na półkach księgarskich praca uczonego niemieckiego Burgdörfera p. t. „Naród bez młodzieży". Autor po przytoczeniu bardzo licznych i ciekawych zestawień statystycznych bije na alarm z powodu ciągłego zmniejszania się urodzeń w Niemczech. Jednocześnie zwraca uwagę na niezwykłą rozrodczość ludności Polski. Do jakiego stopnia ludność Niemiec zmniejsza się w porównaniu z Polską, może poświadczyć fakt, iż na tysiąc mieszkańców w Niemczech przypada 17,5 urodzeń, podczas gdy w Polsce 32,3. Na podstawie swych obliczeń stwierdza Burgdörfer, iż za 27 lat, t. j. w r. 1960 Niemcy będą liczyć 69 miljonów mieszkańców, Polska 42 miljony, Francja zaś 37 miljonów.

„Obawy profesora Burgdörfera są przesadne. W Polsce powstały instytucje, zatwierdzone przez władze, które w imię zasad masońsko-liberalnych pracują nad tem, by przyrost naturalny w naszym kraju nie był większy, aniżeli w Niemczech. Są to t. zw. poradnie świadomego macierzyństwa i liga reformy obyczajów z pp. Boyem-Żeleńskim, dr. Rubinrautem i dr. Budzińską-Tylicką na czele. Rezultatem tej propagandy jest fakt, że obecnie z roku na rok w Polsce przyrost naturalny maleje, a w I-ym kwartale r. b. zrównał się już z Niemcami, bo wskaźnik jego wynosi liczbę 10 (różnica pomiędzy ilością urodzeń i zgonów na 1000 mieszkańców)."

Teraz już wiemy, dlaczego w Polsce zakładane są poradnie świadomego macierzyństwa i w jakim celu powstają instytucje takie, jak Liga Reformy Obyczajów: chodzi o to, żeby „przyrost naturalny w naszym kraju nie był większy, aniżeli w Niemczech"...

Nie posądzamy *Gazety Warszawskiej* o taką głupotę, któraby pozwoliła wierzyć, że istotnie organizatorzy poradni świadomego macierzyństwa i założyciele Ligi Reformy Obyczajów mają w swej akcji na względzie interes Niemiec. Jedna to z wielu podławych insynuacyj, ciskanych nieustannie przez prasę nacjonalistyczną i klerykalną.

Rezultatem działalności Ligi Reformy Obyczajów może być tylko *wzmocnienie* organizmu społecznego i narodowego, obniżenie stopnia śmiertelności dzieci, zwalczenie plagi poronień (z zakażeniami i najcięższemi chorobami), usunięcie tragedyj i przestępstw matek dzieci nieślubnych, pomniejszenie nędzy i jej zwyrodnień, podniesienie moralności społecznej.

Ale przecież z *Gazetą Warszawską* polemizować nie można. Więc tylko uprzedzamy: przygotujcie, panowie, nowy zapas kłamstw i oszczerstw, albowiem Liga Reformy Obyczajów przystępuje do znacznego rozszerzenia swej działalności. Już w szeregu miast powstają oddziały Ligi, których akcja zatacza coraz szersze kręgi. Bijcie na alarm, kłamcie, szerzcie zamęt pojęć, fałszujcie nasze programy i cele, a Liga Reformy Obyczajów będzie robiła swoje, korzystając z poparcia i współpracy odważnych, uczciwych i światłych obywateli.

W ten sposób role będą dobrze i wyraźnie podzielone.

R.

FILMY »NIEDOZWOLONE«

Troska o należyte wychowanie młodzieży skierowała wzrok wychowawców również na kino, które młodocianym rzeszom dostarcza najczęściej rozrywki. Rodzice i specjalne organizacje społeczne, powstające w celu opiekowania się życiem młodzieży, władze szkolne, a zresztą i władze administracji państwowej czuwają nad tem, by przypadkiem biały ekran nie stał się rozsadnikiem moralnej „zarazy". Istnieje przecież nawet specjalna cenzura prewencyjna dla filmów, złożona z przedstawicieli władz rozmaitych „resortów", mająca na celu kwalifikowanie filmów, jako dozwolone lub niedozwolone dla młodzieży.

Czemże kieruje się komisja cenzorów przy kwalifikowaniu jakiegoś obrazu? Dbałością o zdrowie moralne młodzieży — oczywiście. Tylko, że ta dbałość i to zdrowie moralne — są to pojęcia bardzo elastyczne, a przytem jakże często trącące pustą frazeologją. Nikt z dobrze myślących, prawdziwych obywateli nie chce z pewnością demoralizacji młodzieży. Ale czy każdy z nich zdaje sobie sprawę dokładnie z metod wychowawczych, jakie w pewnych poszczególnych wypadkach stosować należy i z celowości dróg, któremi sami kroczą do niewątpliwie dobrego celu?

Oto demonstruje się przed komisją cenzorów jakiś film. Treść obrazu podniosła, tendencja szlachetna, morał widoczny, jak na dłoni; ale jednocześnie wpleciono do obrazu jakieś sceny romantyczne, parę uścisków, kilka długich pocałunków. Co wtedy robić z tym fantem? Oczywiście — wyciąć owe sceny w imię dbałości o „zdrowie moralne młodzieży". Ale przecież może się zdarzyć, że właśnie takie romantyczne epizody służą i pomagają uwypukleniu pewnej moralnej tendencji. Skreślenie ich przez cenzurę może nieraz obniżyć wartość artystyczną obrazu, jako całości, może zrobić go zgoła niezrozumiałym.

A jaką opinję ma wydać komisja cenzorów o obrazie, w którym niema absolutnie nic uwłaczającego moralności publicznej, ale jednocześnie niema także żadnej prawie treści, a jest tylko bezmyślność, rozwodniona w szeregu pozbawionych wszelkiej wartości scen? Czy dozwolenie takiego filmu nie będzie w istocie swej właśnie niemoralnością? Boć przecie dwie godziny, spędzone na przyglądaniu się obrazom, z których żadnej, absolutnie żadnej korzyści się nie wynosi — to tylko nieprodukcyjna, a więc w gruncie rzeczy niemoralna strata czasu, który możnaby wykorzystać w inny, wartościowy sposób.

A co zrobić z filmem bardzo moralnym, w którym każda scena to jakaś mądra nauka, ale wartość artystyczna całości stoi poniżej najskromniejszych estetycznych wymagań?

Jakiegoż więc trzymać się przy tem cenzurowaniu kryterjum? Jak sobie poradzić tu z owym celem cenzorskim — zdrowiem moralnem młodzieży?

Mamy wrażenie, że raczej należałoby zaniechać wszelkiego cenzurowania, dokonywanego pod kątem tego zdrowia. Władze administracyjne i tak nie puszczą na ekran obrazu, godzącego z tych, czy innych względów w moralność publiczną; zadaniem zaś instytucyj, powołanych do opieki nad wychowaniem młodzieży, będzie *zalecanie* tej młodzieży pewnych obrazów. Nic więcej. Nie powinno być filmów dozwolonych, albo niedozwolonych; powinny być tylko takie, na które się zwraca uwagę i które się *zaleca* i takie, o których się nic nie mówi, gdyż najwidoczniej na to, by o nich mówić, nie zasługują.

To jedna strona zagadnienia. Pozostaje teraz jeszcze druga: celowość zakazów, celowość tego *niedozwalania* filmów.

Znane jest ogólnie twierdzenie, że owoc zakazany smakuje najlepiej nie dlatego, że jest najsmaczniejszy, ale dlatego właśnie, że jest zakazany. Niema w tem twierdzeniu przesady, zwłaszcza w zastosowaniu do młodzieży. I znaną jest również rzeczą, że zabiegi nadmiernie gorliwych moralistów-wychowawców, by jakaś „niecenzuralna", książka nie dostała się do rąk młodzieży, są dla tej książki najlepszą reklamą. Przekorna zazwyczaj w pewnym okresie życia młodzież, zrobi wszystko, by „na złość" zakazowi książkę wyklętą dostać i treść jej jednym tchem pochłonąć. Wogóle wszelki zakaz, stosowany do młodzieży, jest aktem o bardzo problematycznej wartości. A już zwłaszcza zakaz, co do którego niema zupełnej możności sprawdzenia, czy jest należycie przestrzegany. Lepiej — sądzimy — nie wydawać zakazów, o ile nie ma się pewności, że młodzież podda się im dobrowolnie.

Wszelkie ostrzegawcze: *„nie wolno!"*, skierowane pod adresem młodzieży, przypomina dawną przedwojenną szkołę, której regulamin przeładowany był zakazami, z których naogół mało robiła sobie młodzież. Niejeden z nas, starszych, pamięta dobrze, jak to organizowało się nieraz całe wyprawy, mające na celu obejście zakazu lub nawet przełamanie go siłą faktów dokonanych. Dziś, w naszej własnej szkole, rzeczy te wyglądają inaczej. Inną jest nasza młodzież dzisiejsza, inni są nauczyciele, innym jest wzajemny stosunek pomiędzy uczniem i nauczycielem. Coraz częściej zaczyna panować nad tym stosunkiem wzajemna ufność i obustronna dobra wola. A te atuty naszej szkoły dzisiejszej należałoby wykorzystywać właśnie dla doprowadzenia do minimum wszelkich zakazów. Jak najmniej negacji — jak najwięcej afirmacji.

Na jedno jeszcze zwrócić musimy uwagę. Jest publiczną tajemnicą, że młodzież klas starszych chodzi na wszystkie filmy „niedozwolone", w rozmaity sposób ułatwiając sobie wstęp do kina. W śródmieściu, w kinach pierwszorzędnych, istnieje niby to ścisła kontrola, ale nie widzi ona, (bo najczęściej nie chce widzieć) wielu przekroczeń zakazów. Natomiast w kinach drugorzędnych, zwłaszcza w dzielnicach dalszych od centrum stolicy, panuje absolutna swoboda. Nikt nikogo nie kontroluje — byle był „ruch w interesie". W takich warunkach — oczywiście — zapowiadanie, że jakiś film jest „niedozwolony" nietylko nie posiada żadnego znaczenia praktycznego, ale jeszcze wpływa właśnie demoralizująco przez obniżanie nieprzestrzeganego autorytetu władz, wydających zakazy.

Tak więc ze wszystkich względów, lepiej zaniechać całkowicie wszelkich filmowych „niedozwalań", niż sprowadzać je do rzędu nic nieznaczących frazesów.

Zygm. Michałowski

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

NOWA KONSTELACJA

Kwestja mandżurska, która do niedawna mogła jeszcze wydawać się odległą od spraw polityki europejskiej, wybiła się na czoło obecnych stosunków międzynarodowych. Huk dział mandżurskich rozległ się głuchem echem w salach obrad Ligi Narodów i w kuluarach genewskiej Konferencji Rozbrojeniowej. Z jawnym niepokojem słuchają go na czerwonym Kremlu, gdzie pod wpływem wydarzeń dalekowschodnich następuje zmiana wytycznych i metod polityki zagranicznej Sowietów. Kłopoty na Wschodzie były bezpośrednim powodem paktów o nieagresji i konwencyj określających pojęcie napastnika, które zmierzają do względnej gwarancji pokoju od strony zachodniej. Stany Zjednoczone z wytężoną uwagą śledzą postępy zaborczej akcji Japonji. Pacyfik wkroczył w błyskawicznem tempie w orbitę polityki światowej.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza punkt ciężkości przesuwa się powoli, lecz stale nad Pacyfik, a oczy świata coraz częściej zwracają się w kierunku Chin i Japonji. Polskę z pośród wszystkich państw europejskich, najżywiej muszą obchodzić dzieje konfliktu obecnego, ze względu na to, że w toku wydarzeń azjatyckich zaangażowany jest najbliższy nasz sąsiad — Rosja.

Nasza literatura polityczna wzbogacona została o godną uwagi, źródłową rozprawę p. Witolda Bronowskiego*), rzucającą światło na sens istotny zatargu chińsko-japońskiego.

W początkach marca 1932 r. nastąpiło proklamowanie niezawisłego państwa Mandżu-Ko, które w mocnych ramach protekcji japońskiej organizuje się i konsoliduje z pośpiechem. Uznane de jure przez Japonję, nawiązuje normalne stosunki z ZSRR. Aby zrozumieć tok wydarzeń, które zrodziły odrębne państwo mandżurskie, należy pamiętać, że Mandżurja i Mongolja nigdy prawie nie stanowiły nierozłącznej całości z resztą Chin. Wielki mur chiński spełniał nietylko rolę wału ochronnego przed najazdem dzikich plemion, lecz stał się również linją demarkacyjną dwóch światów: osiadłych i pokojowo usposobionych Chin oraz wojowniczych plemion mandżuro-mongolskich koczowników. Mandżurowie odgrywają w ciągu wieków rolę elity państwowej, stanowiąc dwór, najwyższą biurokrację i siłę zbrojną w Chinach. Dopiero na początku 20 wieku następuje zniesienie surowych i licznych zakazów, uniemożliwiających bezwzględnie kontakt między dwoma krajami. Dotychczas bowiem wzbronione było osiedlanie się Chińczyków w Mandżurji, zakazane były pod groźbą surowych kar małżeństwa mieszane, a odrębność administracyjna i wojskowa pilnie była strzeżona. Wzajemny stosunek obu krajów był tak swoisty, że nie podpada pod żadną formułę prawno-politycznych pojęć Europy. Różnice ustrojowe wyrosły tu na gruncie starej cywilizacji. Odmierzanie stosunków tych miarą pojęć europejskich stworzyło właśnie dezorjentację i chaos, cechujące nasze poglądy na życie publiczne Chin. Podczas gdy w zakresie naszych pojęć odrębność państwowa Mandżurji nie da się zakwestjonować, — to pokojowy podbój tego kraju przez kolonizację chińską jest czemś równie oczywistem i nieulegającem wątpliwości.

Jakie są przyczyny masowej wędrówki ludu chińskiego ku żyznym terenom Mandżurji? Rewolucja chińska r. 1911 nie znalazła w Mandżurji gorącego przyjęcia. Mandżurowie pozostali monarchistami, republikańskie idee młodych Chin pozostały im obce. Nurt rewolucyjny zatrzymuje się na linji wielkiego muru, który jeszcze raz odegrał rolę symbolicznej granicy. Anarchja chińska nie dociera do Mandżurji, której władze wrogie są przewrotowi i wszelkiej zmianie stosunków. Po abdykacji dynastji zerwana zostaje więź unji monarchicznej, która łączyła dotychczas oba kraje. Mandżurja dwukrotnie ogłasza w roku 1916 i 1922 niepodległość, uznaną przez Rosję, — zarówno carską jak radziecką. Coprawda w roku 1928 wielkorządca Mandżurji uznaje zwierzchnictwo Chin.

Odrębność Mandżurji była w swoich skutkach ogromnie doniosła dla jej rozwoju gospodarczego. Wojny domowe nie niszczyły tej części kraju. Możność spokojnej pracy oraz poparcie Japonji zapewniły tutejszej ludności względny dobrobyt, nieznany w zakłócanych ustawicznemi zamieszkami stosunkach chińskich. Tem głównie tłomaczy się żywiołowy pęd chińskiego ludu ku terenom mandżurskim. Sytuację ludności pogorszyły zczasem opłakane następstwa rabunkowych rządów. Samowola bezkarnej administracji i wysokie daniny publiczne godziły w mienie i bezpieczeństwo ludności. Japonja korzystała w Mandżurji z tak zwanych stref dzierżawnych, koncesyjnych i kolejowych. Wielka liczba przywilejów gospodarczych i rozległy zakres uprawnień specjalnych, z jakich korzystała Japonja, stworzyły już wówczas zamaskowaną coprawda podstawę późniejszej aneksji. Japonja dyskretnie zataiła swoją zdobycz, aby nie wzbudzać rywalizacji innych państw, a zarazem uniknąć posądzenia o imperjalizm. Zastosowała tu system, zainicjowany przez carską Rosję.

W świetle tych wydarzeń jedność państwowa i administracyjna Chin istniała zatem jedynie w sferze ambitnych zamierzeń. Trudno zresztą wyobrazić sobie, by kraj o powierzchni 11 miljonów km. kw. i o ludności 450 miljonów głów (co stanowi niemal ¼ ogółu mieszkańców naszego globu), złożonej z pięciu odmiennych ras, mógł stanowić jedno państwo i podlegać jednej władzy. Przyszłe dzieje Chin stanowić będą najprawdopodobniej dalszy proces rozpadania się imperjum.

Motywy, jakie kierowały Japonją w utworzeniu i zorganizowaniu Mandżu-Ko są dostatecznie znane. Chodziło o surowce, o rynki zbytu, o wygodną bazę wypadową i strategiczną, o tereny ekspansji dla przeludnionych wysp Nipponu. Czyli, jak mówi japońska racja stanu — „o prawo narodu do egzystencji i bezpieczeństwa". Działało tu uświęcone tradycją i poparte argumentem siły prawo przemocy. Czynnikiem niemniej ważnym w dziele organizacji nowego państwa był odwieczny separatyzm mandżurski i mongolski.

Jak zareagowała Europa na wypadki, rozgrywające się w Azji Wschodniej? Próby załagodzenia konfliktu przez Ligę Narodów napotkały zdecydowany opór pewnej siebie Japonji. Po długich, a bezowocnych obradach postanowiono wreszcie za zgodą Ja-

*) Witold Bronowski: Konflikt chińsko-japoński w świetle nowych wydarzeń. Studjum z zakresu polityki zagranicznej. Wydawnictwo kwartalnika „Wschód", 1933.

ponji wysłać na miejsce zatargu specjalną Komisję Studjów. Po przeprowadzeniu lokalnych badań Komisja złożyła Lidze Narodów sprawozdanie, zwane raportem Lyttona, które stanowi pięknie wydany tom dużego formatu, zawierający szereg doskonałych map i jeszcze grubszy tom załączników.

Raport Lyttona stwierdza jasno i stanowczo niezwykłe rozmiary anarchji Chin, notuje sowietyzację szeregu prowincyj, częste przewroty polityczne, które są groźbą dla pokoju światowego. W sprawie Mandżurji wyraża raport dwie opinje, które wzajemnie sobie przeczą. Mówi o odrębności Mandżurji, a jednocześnie nazywa ją „integralną częścią Chin". Sprawozdanie konstatuje w sposób niedwuznaczny wyjątkowy zakres uprawnień Japonji, a przebieg wypadków od roku 1931 uważa za zgóry obmyślony plan. Komisja Studjów nazywa Mandżu-Ko sztuczną kreacją japońską. Bojkot antyjapoński ze strony chińskiej jest jej zdaniem jednym z ważnych elementów konfliktu. W poszukiwaniu rozstrzygnięć zatargu raport odrzuca zarówno powrót do status quo ante, jak i utrzymanie państwa mandżurskiego. Obie ewentualności uważa za niepożądane i nierealne. Jedynym uchwytnym wnioskiem Komisji jest propozycja przywrócenia suwerenności Chin przy zapewnieniu Mandżurji rozległej autonomji. Wnioski te w obecnym układzie stosunków nie doczekają się z pewnością realizacji. Nie wpłyną na dalsze losy wydarzeń, a spowodowały tylko wystąpienie Japonji z Ligi Narodów i podważyły temsamem prestige instytucji genewskiej.

Punkt ciężkości zbrojnego zatargu w Azji Wschodniej przenosi się coraz wyraźniej na stosunki japońsko-sowieckie. Stalin oświadczył niedawno, iż groźba konfliktu z Japonją jest głównym powodem stałej i gorączkowej rozbudowy przemysłu wojennego. Podwyższenie budżetu wojskowego, naprawa dróg żelaznych i urządzeń portowych, lokalna koncentracja wojsk — oto etapy pogotowia wojennego Sowietów. Pakty o nieagresji są jego marginesowem uzupełnieniem. Japoński minister wojny Araki nazwał Rosję niebezpiecznym sąsiadem, co uważa za dostateczny pretekst do apelu o kredyty wojenne. Wojna na Dalekim Wschodzie nie jest jednak sprawą najbliższej przyszłości. Sowiety dążą dziś do uniknięcia za wszelką cenę powikłań wojennych. ZSRR gotowe jest do odstąpienia władzom mandżurskim kompleksu swych praw i przywilejów, związanych z koleją wschodnio-chińską. W praktyce oznacza to całkowite niemal odcięcie Sowietów od terenu Chin i odwrót od Pacyfiku.

Trudno liczyć na dalszą ustępliwość Związku Radzieckiego, a nie można przytem zapominać, że apetyty terytorjalne Japonji sięgają znacznie dalej — wgłąb Syberji Wschodniej. Groźba zatargu zbrojnego Japonji z ZSRR nie została więc trwale usunięta, a tylko chwilowo zażegnana.

Daleki Wschód stał się nowym punktem zapalnym świata. Pacyfik staje się węzłem, gdzie krzyżują się interesy polityczne i gospodarcze Azji, Europy i Ameryki. W kotle wydarzeń ważą się doniosłe problemy, które przeistoczyć mogą konstelację dziejową .

* * *

Perspektywy tych zmian i przeobrażeń odsłania praca p. Bronowskiego, napisana zwięźle, przejrzyście i treściwie.

Józef Szpecht

DWA GŁOSY Z PROWINCJI

Prowincja polska żyje intensywnie i kroczy naprzód zarówno w dziedzinie kultury materjalnej jak i duchowej. Ludność prowincji odczuwa głód wiedzy i książki, życie społeczne i towarzysko-kulturalne bije może silniejszym nurtem, niż w stolicy. Ruch regjonalny objął nietylko większe miasta, jak Płock i Grodno, ale i małe prowincjonalne mieściny, gdzie powstają muzea historyczne, geologiczne, etnograficzne, że wspomnę tylko o takiej Mławie czy Olkuszu. Gardzić prowincją może tylko ten, kto ją zna z ekranu filmowego, gdzie ku rozweseleniu gawiedzi wielkomiejskiej przedstawia się ją niezgodnie z rzeczywistością, żonglując dowcipem najtańszego gatunku. Gdy z niczem nieumotywowaną dumą przeciętny warszawianin odzywa się o „prowincjonałach", przypomina mi się pewna anegdota, jaką zanotował dziejopis francuski, pisząc o Francji z przed stu lat: W 1832 r. mieszkaniec prowincji zaczął przed Paryżaninem wychwalać rzekę Loire, nad którą leżało jego rodzinne miasto. Paryżanin, usłyszawszy nazwę „Loire", wzruszył ramionami i z najwyższą pogardą oświadczył: „U nas w Paryżu nazywa się to Sekwaną!"

Wszystkie powyższe refleksje nasunęły mi się w związku z lekturą powieści A. Ważyka.*) Autor — znany jako współpracownik „Zwrotnicy" — dał tym razem powieść zupełnie chybioną. Nienawiść do człowieka wogóle idzie tu w zawody z pogardą prowincji. W całej powieści nie znajdziemy ani jednego nietylko dodatniego ale normalnie przeciętnego typu. Akcja powieści nierówna, urywana; przewlekłe opisy nikogo nie obchodzących zdarzonek, a wszystko wyrażone dziwacznym i goniącym za oryginalnością stylem robi przykre wrażenie. Przy końcu książki autor umieścił datę 1929—1932. Cztery lata pracy! Czy warto było ją poświęcać na łamańce stylistyczne w rodzaju następującego: „Irena napełniła dwie szklanki. Nie osłodziła herbaty ojca. Zapomniała — pomyślał Wiktor. On sam zapomniał o czemś ważniejszem. Grzebał w pamięci. Udręczył swoją skroń, przeniósł eksploatację do kieszeni. Znalazł tylko klucz od pokoju. Klucz dla aptekarzowej — burknął Szerburt, smakując owoc tajnego poznania. Była to ciarka z koszyka Marysi".

Drugim głosem z prowincji jest książka Gojawiczyńskiej.**) Debiut wypadł ze wszechmiar udatnie i autorkę należy przywitać jako siłę, która da literaturze jeszcze niejedno tęgie dzieło. Terenem akcji zbiorku nowel o ogólnym tytule „Powszedni dzień" jest Śląsk. Gojawiczyńska doskonale zna to ży-

*) *Adam Ważyk:* Latarnie świecą w Karpowie. Warszawa, Tow. Wydawn. „Rój". 1933.

**) *Pola Gojawiczyńska.* Powszedni dzień. Warszawa 1933, Tow. Wydawn. „Rój".

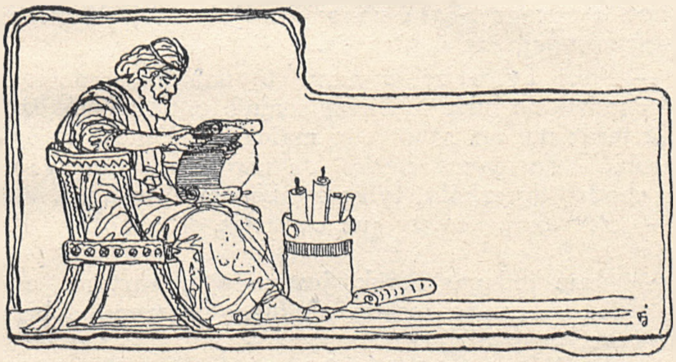
Przyjaciół naszego pisma prosimy o podawanie nam adresów osób, którym należy posyłać okazowe numery „Epoki"

cie śląskie pełne trudu, tragedyj i zmagania się z losem. Z wielką miłością zbliża się do ludzi, opisując ich drobne powszednie smutki, dole i niedole i umie podnieść najdrobniejsze zdarzenie do wyżyn prawdziwej ogólnoludzkiej tragedji. Jakże wymowną jest ostatnia scena z tytułowej noweli, gdy Marja, ogarniając okiem pooraną lejami i rowami ziemię, zdaje sobie sprawę, że jej miłosna strata i osobista rozpacz nic nie znaczą „wobec tych ludzi, tworzących swój dzień powszedni uporczywie i bezustannie, bez narzekań i szemrania".

Postaci szarych, prostych ludzi wrażają się głęboko w pamięć czytelnika i stają mu się tak bliskie i drogie, że odkładając książkę, rozstaje się z nimi z wielkim żalem.

Mówiąc o Śląsku, niepodobna pominąć walki i ścierania się Polaków z Niemcami. Autorka przedstawiła tę walkę niezmiernie subtelnie, ani razu nie popadając w ckliwość patrjotyczną. Obdarzona wielkim umiarem, potrafiła w „Górnoślązaczce" wypełnić wobec ludu śląskiego obowiązek pisarza przez wystawienie pomnika artystycznego kobiecie śląskiej — prostej, konserwatywnej babie Świstołowej. Wystawiając go, autorka spłaciła dług, jaki się należał ludowi śląskiemu od pisarzy polskich za uratowanie tej ziemi tak długo i systematycznie germanizowanej.

M. Czarnowski



ŚWIĘTOMANJA

Lato obecne, tak kapryśne pod względem pogody i temperatury, ma i swoje, zgoła specjalne właściwości psychologiczne. Spadł na nas prawdziwy huragan najrozmaitszych świąt, uroczystości, rocznic. Przedewszystkiem — świąt: święto matki, święto dziecka, święto Huculszczyzny, święto sadzenia drzew, święta takich a takich organizacyj — ktoby tam wszystkie te święta spamiętał! Mają one swój zgóry ustalony, oficjalny rytuał: ulgowe przejazdy, obecność wysoko postawionych osobistości, nabożeństwa, defilady, sztandary, akademje i zbiórki. Cała Polska obchodzi jakieś nieustające święto, związane z najróżnorodniejszemi tematami i rozłożone na najrozmaitsze miejscowości. Uwzięto się świętować w sposób wystawny i kosztowny, aby płaszczem uroczystości przykryć nędzę i pustkę szarego dnia powszedniego naszego życia.

Święto — oczywiście święto, mające swoje uzasadnienie w godnym uczczenia momencie przeszłości, czy w celu, związanym z przyszłością, do którego naprawdę się dąży — święto potrzebne i uzasadnione — bo bywają i inne, produkty samej jeno świętomanji, operującej w pustce — jest w stosunku do codziennej rzeczywistości wyjątkiem, drogowskazem, podniesieniem życia na wyższy poziom, żywem obcowaniem z przeszłością, zbiorową komunją w obliczu przyszłości. Jest djalogiem, który społeczeństwo prowadzi ze swojemi dziejami i dążeniami, jest rozmową „gór" z „nizinami", które uświadamiają sobie wiecznie ruchliwą płynność gruntu, z którego wyszły i który pozwala im spotkać się ze sobą i porozumieć w języku o wspólnych brzmieniach woli, uczucia i intelektu.

Święto musi więc wyrastać organicznie z dnia zwykłego, z jego prac, zamierzeń, warunków istnienia i psychiki. Ma być przedłużeniem tego dnia, mocniejszem uwydatnieniem jego dążeń i konturów, związaniem ich z przeszłością, projekcją w przyszłość. Jest szczególnie uroczym krajobrazem, upiększonym jeszcze przez inscenizatorów i pedagogów życia zbiorowego, a znajdującym się wzdłuż nurtu, którym płyną zbiorowe dzieje. Święto jest więc rezerwą siły i podniet, wysłanych na pomoc dniowi powszedniemu, aby go pokrzepić i dodać mu bodźca do pracy i wytrwania. Święto musi czytać w duszy tego szarego dnia, upiększając i kaligrafując pisane w codziennym mozole litery. Święto musi być bratem tego szarego dnia, troszczącym się o jego zwykłą, prozaiczną dolą, przemawiającym doń jego własną zrozumiałą dlań mową. Święto jest uświadomieniem planu, zaaprobowanego przez społeczeństwo, a wykonywanego przez tych, których ono powołało do tej misji. Jest rozmową rządzących z rządzonymi.

Ale jest źle, gdy święto zatraci kontakt z powszednim dniem, gdy pocznie na nim pasorzytować, gdy staje się dywersją, mamidłem, mającem odciągnąć od ważnych i trwałych spraw. Święto-pasorzyt to frak na brudnej koszuli i na niedokarmionem ciele. To manja do wspaniałych gmachów, urzędów i instytucji, wybudowanych kosztem potwornych swą nędzą i swem zaniedbaniem przedmieść i wsi, bosej, głodnej i tak ubogiej, że znajduje się właściwie poza obrębem wszelkich współczesnych zbiorowych urządzeń o parę wieków wstecz za niemi. To pokazy zbytku, urządzone na oczach ludzi nieodzianych i głodnych. To huczne i skoczne nuty marszów i walców, w których nie ucichły jeszcze echa zgoła innych wydarzeń. To — jednem słowem — nie stacja na drodze zbiorowego rozwoju, ale ślepy tor, dywersja.

Dzień powszedni — to my, tacy, jakimi naprawdę jesteśmy. Święto — to my, jakimibyśmy pragnęli być, za jakich pragnęlibyśmy uchodzić. Harmonja święta z dniem powszednim jest cechą społeczeństwa dojrzałego, wiedzącego, do czego dąży, znającego prawdę o samem siebie. Rozbieżność, odstęp między świętem a codziennością jest objawem groźnym, świadczącym o wewnętrznej dysharmonji czy chorobie. Widać, drogi gdzieś się rozwidliły i rozszerzyły. Zbiorowe życie przestało być przeżywaną wspólnie treścią. Jednoznaczne, zdawałoby się, słowa stały się dwuznaczne i brzmią inaczej zależnie od tego, kto je wymawia i kto ich słucha. Języki rozeszły się, a góry, pragnąc nazawsze pozostać górami, odeszły od nizin.

Święto powinno być braterstwem duchów, bywa czasem — niestety — nakazem, ale najgorzej jest wtedy, gdy samo nie wie, czem jest.

Świętomanja jest biurokratyczną fabrykacją szablonów-świąt, które rodzą się z pustki i obracają się

w pustce. Świętomanja jest udawaniem, że się coś robi, że się do czegoś dąży. Ma wywołać wrażenie pracy kosztem najmniejszej, najmniej organicznej inwencji. Jest to tak, jakby ktoś, kto nie umie zbudować fundamentów, przystępował odrazu do wieńczenia dachu. Arystokratyczną organizację świąt musi poprzedzić demokratyczna organizacja dnia powszedniego. Kto tego nie czyni, kto produkuje zbytek, pozór i blichtr, a zaniedbuje codzienną pracę, ten buduje na piasku, albo na wulkanie. Nic dziwnego, w tym rozroście świętomanji fabrykacja pozorów jest znacznie łatwiejsza od wypracowania i stwarzania prawdy.

Każda celowa praca, każde konsekwentne dążenie musi być rozłożone na etapy, musi się dokonywać według logicznych praw .Najpierw dzień powszedni, a potem dopiero święto. Najpierw praca dla wszystkich i chleb dla wszystkich, a potem dopiero — zbytek dla uprzywilejowanych w jakiejkolwiek miałby się pojawić postaci. Najpierw trud — a potem dopiero autoreklama.

Jak narazie rzeczy stoją, wolelibyśmy, aby było mniej świąt, a energja i koszty, obracane na ich urządzanie, poszły na urządzenie cichego, niewidocznego, najważniejszego codziennego święta: święta chleba, święta pracy dla łaknącego pracy i chleba szarego człowieka.

Święto, świętomanja to temat pozornie tylko specjalny i daleki od głównego gościńca tworzącej się rzeczywistości. Z obwodu tego najkrótsza droga wiedzie do ośrodka wszystkich zbiorowych zagadnień. Przez ten pryzmat możemy bez trudu zbadać psychologję zbiorowości, jej harmonję, pęknięcia i zgrzyty, możemy ustalić jakim jest stosunek formy do treści w życiu zbiorowem, a na jej podstawie postawić djagnozę i szukać lekarstw. Symbol doprowadza nas do rzeczywistości, a wyjątek do reguły. Święto rozrosło się kosztem dnia powszedniego, z którym nie chce mieć nic wspólnego. Czas, aby powróciło do podstawy, z której wyszło — i którą opuściło. Dzień powszedni upomina się o to bardzo wyraźnie i bardzo mocno.

Włodzimierz Jampolski.

DZIAŁ ZESPOŁU LITERACKIEGO „PRZEDMIEŚCIE"

MIESZKANIE

— Wiesz, kto to jest?

— No kto?

Od kuchni przez mały pokój jadalny wychodzi na ganek dziewczynka. Ma czystą sukienkę i jasne, gęste, równo obcięte włosy. Wygląda na sześć lat. Jest poważna i śmiała.

— Nie poznajesz? A to jest Wikcia, najmłodsza córka Magdy.

Wobec tego ucałowałyśmy się. I wtedy poczułam, że ta mała śmierdzi. Jej gładko uczesane, śliczne włosy, jej czysta w szare paski sukienka, coś naokoło niej — niewiadomo. Nie był to zwykły, znany zapach ubóstwa. Był inny i gorszy.

— Ja przyszłam po Tytusa — oznajmiła.

Popatrzyła niebieskiemi oczami na drzewa wdole i zieloną przestrzeń łąki. W głębi pasły się, powiewając bez ustanku ogonami, dwa konie, gniady i biały. Za końmi leżał płat innej zieleni, pole wiosennego żyta, po którem smuga niebieskiego srebra przelewała się, jak cień od wiatru.

Popatrzyła, nie widząc, i obejrzała się za siebie na pusty pokój. To gołe, ubogie wnętrze jadalni wydało jej się widać warte zastanowienia.

— Przyszłam, żeby Tytus rozmówił się z gospodynią. Bo gospodyni znowu mamę wyrzuca.

— Ale Tytusa zdaje się niema.

— Tytusa niema — powtórzyła. I ściągnęła jasne brwi z troską. — Wujek mówi, że Tytus poszedł na mecz z tą panienką.

— Poczekaj, może wróci.

Zaproszona, usiadła. Ale wolała na progu drzwi, nie na krzesełku. To nie było złudzenie. Smrodliwa woń powiała od tego jej poruszenia.

— Gdzie teraz mieszkacie? Daleko?

— Teraz mieszkamy w mieście — odpowiedziała pełnem zdaniem. — Zaraz z samego brzegu, za cegielnią.

Znowu popatrzyła za siebie. Jej duża głowa dziecinna osadzona była na szyjce cienkiej, kruchej i bezbronnej, jak u ptaszka.

— Póki Tytus był z nami, to nam było dobrze, bo chodził do huty i zawsze mamie oddał pieniądze. Ale teraz nie ma roboty, to mama sama musi na nas zarobić. To mamie ciężko. Ja mamie nie pomagam, bo chodzę do szkoły, tylko Andzia ma posługę...

— Poczekaj, to ty już chodzisz do szkoły? Ile masz lat?

— Mam jedenasty rok, jestem w czwartym oddziele. Tylko, że jestem nieduża. Owszem, dobrze się uczę. Jest mi łatwo.

— A dlaczego gospodyni mamę wyrzuca?

— Bo gospodyni teraz potrzebuje komórki na składzik, to dlatego. Gospodyni mamę wzięła darmo za dozorczynię. Mama zamiecie podwórze, zamknie bramę — i za to ma mieszkanie. A teraz gospodyni nie wiem co robi, żeby się mama tylko wyniosła. A gdzie mama pójdzie, jak nie ma z czego płacić? Jak gospodyni zobaczy, że mama rano zamiata, to mamie wyrwie miotłę i tą miotłą bije po głowie i wypędza mamę za bramę. To mama tak płacze, że nie wiem. A my się z Andzią zamykamy na klucz od środka, żeby ona nie weszła do mieszkania i nie wyrzuciła rzeczy. Tak się pozłości, pozłości i pójdzie. Bo ma sklepik, to w tym sklepiku musi siedzieć.

Wikcia mówi powoli i rozsądnie. Jej pełna twarz jest prawie nieruchoma, ściśle zamknięta surowa powagą. Tylko z koloru oczu i włosów podobna jest do matki, nie z usposobienia.

Wszystkie te rzeczy bowiem wynikły z dzikiej, głupiej i nieprzyzwoitej miłości Magdy do starego gajowego. Te rzeczy są teraz, gdy tamta miłość oddawna już przeminęła. Magdy wędrówki nocą przez mokre łąki do lasu nie skończyły się tak zupełnie, choć łąki są teraz osuszone, a gajowy, spuchnięty z pijaństwa, umarł. Wody bagien odeszły stąd do dalekiej rzeki. Ale kanał, który tej zimy wykopali

bezrobotni, stojąc bosemi nogami w czarnej między śniegami wodzie odwilży, nie załatwił wcale tej sprawy, chociaż tam właśnie wzięła swój zły początek.

W miejscu, gdzie droga, wysadzana olszynami, przechodziła przez smugę rozlewisk, leży teraz wpoprzek wielka rura żelazna, wysoko przysypana suchą ziemią. Z jednej strony wchodzi do niej po gołem dnie obojętna woda, z drugiej wypływa. Dawny rów stojący, zarośnięty żółtemi irysami i niebieskiemi niezapominajkami, stał się płynącą rzeką, ujętą w dwa wały brudnej, popielatej ziemi. Niema tu już ani jednej olszyny, wszystkie okoliczni ludzie powycinali na opał przez te ciężkie zimy ostatnich lat. Łąka jest płaska i sucha, a las za łąkami, którego pilnował kiedyś stary gajowy, przegrodziły świeże kwadraty sztachet i siatek drucianych, rozpiętych między sosnowemi słupkami. Czarne jagody, mech, bagno i wielkie paprocie wydeptały kury i prosiaki, na miejscu dawnych wrzosowisk leżą małe pólka kartoflane, przy domkach drewnianych rosną jabłonie i czereśnie. Ze starych sosen podniebnych i białych brzóz nie zostało nawet śladu.

Nie żyje gajowy i umarła też śliczna, młodziutka siostra brzydkiej Magdy, Irenka, z którą poźniej zdradzał gajowy Magdę. I gdyby stary Kwiecień nie był ganiał swoich córek wieczorami kraść drzewo z lasu, pewnie nie byłoby tego, co jest teraz. Ale jak się dziś widzi dorosłego Tytusa, dużą już Andzię i tą małą Wikcię, czyż da się pomyśleć, że oni wszyscy mogliby wcale nie być?

Pewnie byłoby im lepiej się nie rodzić w tych czasach, które są takie złe dla pracujących ludzi. Ale teraz, jak już są, chcą być.

Wikcia czeka, rozsądna, spokojna i poważna. Mówimy o Tytusie. Wikcia, przychodząc na świat, zastała go już jako gotowego, starszego brata, dużego chłopaka, który prędko zaczął chodzić do huty i był mężczyzną i opiekunem rodziny. Ale już w tamtych czasach, gdy Magda prawie co roku wyprawiała chrzciny, a później grzebała swoje dzieci, bo z ośmiorga urodzonych wychowało jej się tylko tych troje, już wtedy Tytus pierworodny był dla niej pomocą. Od małego to było dobre dziecko. Jak Magda szła na robotę, mogła wszystko na jego głowie zostawić. Pilnował i kołysał młodsze dzieciaki, — karmił je z flaszki, sam im co nagotował, nawet w mieszkaniu posprzątał. A jak tylko trochę dorósł, dostał robotę i robił, póki go z huty nie zwolnili.

Ale Wikcia nie ma co do Tytusa złudzeń. Ten dobry brat zrobił się teraz jak obcy.

— Dawniej, to choć już nie robił, to jeszcze chociaż z nami siedział. Nieraz jeszcze coś przyniósł. Ale teraz, jak zapoznał tę panienkę, to powiada, że mu się wstyd żenić tak prosto z komórki. To tu przyszedł do wujka i tu z nią jest. A o nas nie pamięta.

— Poczekaj, dlaczego z komórki?

—Dlatego, że nasze mieszkanie to jest taka komórka w podwórzu, na węgle, na drzewo. To myśmy ją wyczyścili, wylepili papierem i jak deszcz nie pada, to tam jest dobrze. Ale jak pada deszcz, to tak cieknie, że wszyscy z głowami wchodzimy pod kołdrę i tak śpimy.

Roześmiała się nagle zupełnie głośno, jak zwykłe dziecko ze zwykłej śmiesznej rzeczy. Ten śmiech odemknął na chwilę jej twarz, ale trwał krótko. Mówiła dalej rozsądnie i rzeczowo:

— Ale rano to wszystko jest mokre i kołdrę trzeba wieszać na sznurku, żeby wyschła. Bo tam niema dachu nad tą komórką, tylko z jednej strony są dwie deski. A w zimie to o piątej chodzimy spać, to nam ciepło. Mama pierwsza wstaje, bo mama codzień chodzi na usługi. Rano idzie i wraca o ósmej, jak my już dawno śpimy. Ma na miesiąc dziesięć złotych i życie. Ale ta pani to taka zła, że jak mama wychodzi, to się tylko patrzy, żeby nam mama czasem co zjeść nie wzięła pod chustkę. To my ile razy jesteśmy głodne. Ile dni takich jest, co my nie jemy. Andzia też ma posługę, ale tylko dwa razy w tygodniu. Dostaje pięć złotych bez życia. Tylko że Andzia mamie prawie nic nie da, bo już jest dorosła panienka, to mama sama mówi, że musi sobie kupić pantofle albo sukienkę.

Obróciła się jeszcze raz poza siebie i nagle zapytała:

—Co to jest za pokój, co w nim niema łóżka? Czy tu nikt nie mieszka?

Zamilkłyśmy na chwilę.

— Gdzieżby się tu zmieściło łóżko. Popatrz tylko. Ledwie stoi stół i krzesła. Nawet szafa jest w ścianie.

Nie była przekonana. Spytała nieufnie:

— Więc tu się tylko je?

Rozglądała się jeszcze po tym pokoju, kiedy ją zapytałam:

— Jak dawno tam mieszkacie?

Powoli zwróciła do mnie swą głowę na cienkiej szyjce.

— W jesieni będzie dwa lata. To najprzód to jej było dobrze, dopiero teraz nas wygania. Takie wyrazy na mamę mówi, że nie wiem.

Zamyśliła się i silnie przymrużyła oczy.

— Na mamę mówi kurwa, a na nas mówi bękarty. Nieraz to wyjdzie na śmietnik i rzuca nam przez wierzch kamienie. To my na nią krzyczymy ze środka, że ją za to Bóg skarze. Więc teraz od wiosny to ona w komórce obok zrobiła wygódkę. Każdy jak tam wejdzie, to go u nas słychać. Jak zimno, to nie, ale jak teraz jest gorąco, to u nas taki smród. Żeby nie wiem jak zalepiać, zawsze przechodzi przez szpary. W nocy nie można z tego smrodu spać i rano to nas zawsze boli głowa. Mama to mówi, że już jej i życie nie miłe. Czasem wieczór, to mówi, żeby gdzie poszła pod pociąg się rzucić albo co. To my wtedy razem z Andzią płaczemy i tak mamę prosimy, żeby sobie co nie zrobiła.

Przestała być spokojna. Zmarszczyła jeszcze brwi, zacisnęła małe pięści, mściwa teraz i gniewna.

— Żeby ten Tytus był dobry, toby tak tu nie siedział, toby on był z nami, jak dawniej, i ona by tak nie śmiała mamie ubliżać. Niech on teraz idzie i niech jej powie, że jak jeszcze będzie mamę poniewierać, to jej tak pysk skuje, że popamięta.

Zofja Nałkowska

W najbliższym n-rze EPOKI w dziale Zespołu Literackiego „Przedmieście" zamieścimy utwór Jerzego Kornackiego p.t. „Noc z policjantem na gałęzi"

„OBALONY OLIMP"

W dodatku literackim *Berliner Boersen Zeitung*, znajdujemy artykuł p. t. „Obalony Olimp", wyjaśniający czemu spalono dzieła najbardziej znanych pisarzy niemieckich:

„*Tomasz Mann*. Nie bez racji opinja światowa nazwała Gerhardta Hauptmanna i Tomasza Manna, „reprezentatywnymi" pisarzami Niemiec. Osiągnęli sławę, gdy ich znaczenie w literaturze niemieckiej stawało się niemal żadne, gdy poczuwać się poczęli do obywatelstwa świata, gdy stali się przedstawicielami pacyfistycznego liberalizmu.

...Słabość i próżność skłoniły „apolitycznego" Manna do uprawiania polityki republikańskiej. Wygłosił smutnej pamięci „odezwę do Niemców", potem udał się do Paryża, by rzucić się w ramiona „braterskiej cywilizacji" i szukać dróg porozumienia między narodami!

„Najszlachetniejszem" dziełem Manna jest książka „Waelsungenblut", znieważająca legendy germańskie — opis kazirodczej miłości dwojga bliźniąt żydowskich. Utwór ten nie był błędem młodości Manna. Już w dojrzałym wieku opublikował go we Francji, jako dzieło francuskie bez wskazania oryginalnego tekstu niemieckiego. Tomasz Mann zdyskontował perwersyjne zainteresowania erotyczne Francuzów.

„*Emil Ludwig*. Zawistny wróg wszystkiego, co niemieckie. Obecnie zdezerterował, a dzieła jego są już martwe. Najwyższy tedy czas, by wystawić mu nagrobek.

„Ludwig i jemu podobni faworyzowani byli od r. 1918 przez rządzących, uwielbiani przez liberalne mieszczaństwo. Ludwig napisał podczas wojny książkę, w której stawia i uzasadnia tezę o winie Niemiec; opisał cesarza metodą, stosowaną przez podłych wrogów; walczył przeciw Bismarckowi, którego chciał poniżyć i zbanalizować.

Karjerowicz, „gwiazda" międzynarodowego półświatka intelektualnego, jego utwory oznaczają kres epoki liberalno-postępowej.

„*Stefan Zweig*. Stefan Zweig był ceniony jako „wielki mistrz essayu literackiego". Napisał tom, który mówi o Kleiście, o Hoelderlinie i o Nietzschem, to znaczy o najszlachetniejszych, proroczych i odważnych myślicielach Niemiec. Cóż powiedział o nich? Hoelderlin nie mógł nigdy znaleźć... kobiety, która zaspokoiłaby jego uczucia! Klęskę twórczą Kleista objaśnia Zweig nałogiem onanizmu. Dzieła Nietzschego są tworem syfilityka, dotkniętego paraliżem postępowym. Całość nosi tytuł: „Walka z demonem". Tenże Zweig obdarzył nas biografją Fouché, tego „wspaniałego zdrajcy" i „mistrza intrygi" epoki napoleońskiej. Fouché był prototypem polityka z „absolutnym brakiem charakteru". Stefan Zweig nie może sobie wyobrazić innego pokroju polityka. Nie wie, że prawdziwy polityk wzrasta wśród narodu, by wziąć z czasem na siebie szczytne brzemię odpowiedzialności.

„Żaden Niemiec nie posądza Zweiga o znajomość historji. Mówi on o Napoleonie, że żądza wojen tłomaczy się jego chorobliwem pragnieniem wielkości. W rzeczywistości, Napoleon zmuszony był do obrony przed Anglją. Zweig nie rozumie polityki, ani dziejów".

Trudno, zaiste, sporządzić bardziej kłamliwą i oszczerczą charakterystykę tych trzech pisarzy. Ale wszystko teraz pisze się w Niemczech na potrzeby obłąkańczej agitacji. Setki pismaków zabrało się do zatruwania mózgów i wzmacniania zbiorowej psychozy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W ostatnim tygodniu lipca zeszła z tego świata ku ogólnemu zadowoleniu międzynarodowa konferencja gospodarcza w Londynie. Wynik jej prac jest równy okrągłemu zeru. Gdyby powiedziano w styczniu 1933 r., lub nawet w przededniu konferencji, że 45 dni potrwa ta wielka impreza i że nie da żadnych wyników, prorokowanoby wówczas wielkie rozczarowanie i nieomal kataklizm gospodarczy, jako wynik tego fiaska. W rzeczywistości, jeżeli może być mowa o jakim kataklizmie, to zaszedł on w czasie konferencji: był nim niebywały spadek waluty amerykańskiej. Sama natomiast konferencja żadnych reperkusji właściwie nie wywołała. Przewidywania i teorje różnych rzeczoznawców-ekonomistów i tym razem nie sprawdziły się.

Z tego powodu przypomina się pouczająca bajeczka jednego z ekonomistów francuskich na temat zupełnej względności kapitalistycznych teoryj ekonomicznych. Do aksjomatów np. należy nieodzowność troski o bilans handlowy, o to, aby był czynnym. A oto przykład, wywracający tę teorję do góry nogami. Było trzech kapitanów: jeden z nich załadował okręt winem francuskiem, nabytem za miljon fr., wywiózł do Anglji, sprzedał za 2 miljony franków, nabył za tę sumę towarów łokciowych angielskich i sprzedał je we Francji za 4 milj. fr., uzyskując 3 milj. fr. zarobku.

Kapitan ten był szkodnikiem, bo wywiózł z Francji towaru za miljon, a wwiózł za 4 miljony.

Drugi kapitan kupił wina we Francji za 4 milj. fr., po drodze część ładunku skisła, części nie potrafił sprzedać tak, że zyskał za wino w Anglji tylko 2 miljony fr., kupił za to sukna, ale sprzedał je we Francji ze stratą za miljon fr., poniósł strat 3 milj. fr. Ze stanowiska bilansu handlowego Francji kapitan Nr. 2 zachował się dobrze: wywiózł za 4 miljony, a wwiózł tylko za 1 miljon.

Ale najlepszym okazał się kapitan Nr. 3: wywiózł z Francji do Anglji wina za 4 miljony fr., wpadł w burzę i utonął razem z ładunkiem. Dla bilansu handlowego zasłużył się znakomicie. Wywiózł za 4 miljony, a nie wwiózł ani za grosz.

Bajeczka ta najlepiej obrazuje względność teoryj i fetyszów naszej współczesnej ekonomji. Przekonywuje się o tem obecnie republika St. Zjednoczonych pod rządami Roosevelta, który chciałby swojemi formułkami i pełnomocnictwami zatrzymać strumień rozwoju ekonomicznego w biegu.

**
*

Dnia 30 lipca prasa niemiecka na komendę czyniła rachunki sukcesów reżimu hitlerowskiego za pół roku.

Był to rachunek bardzo charakterystyczny. Brzmiał mniej więcej tak: władza została opanowana całkowicie, szczególniej od chwili, gdy fale hitleryzmu zmogły ostatnią przeszkodę w postaci p. Hugenberga, partja nacjonal-socjalistyczna opanowała wszystko, nie ominęła żadnej „placówki". I co z tego? — pyta czytelnik. Na to pytanie zwycięskie bilanse dają bardzo mdłą odpowiedź. Brzmiała ona np. na łamach *Vossische Zeitung* tak:

— Byłoby wielkim błędem, gdyby ktoś już po pierwszem półroczu żądał

jakiegoś bilansu, albo nawet prowizorycznego rachunku. Sztuka rządzenia — jest sztuką, a praca artysty nie może być oceniana według pierwszych linji szkicowych, szczególniej, jeżeli chodzi o dzieło monumentalne".

Z tej filozoficznej uwagi wynika, że arcydzieło malarza Hitlera pod nazwą „das dritte Reich", malowane krwią i żelazną pałką — to szkic, po którym nie należy sądzić o przyszłości. A jednak sądzić trzeba i można, a pół roku władzy niczem nieograniczonej (poza Hugenbergiem) jest dostatecznym terminem, aby wraz z *Times'em* orzec, iż artystą w sztuce rządzenia w dobrem tego słowa znaczeniu „piękny Adolf" nie jest. Fala gwałtów i represyj ani na chwilę w Niemczech nie ustaje, coraz to nowe i coraz przemyślniejsze skorpjony spadają na „wyrównany", wedle hackenkreutza, naród niemiecki, skrzypią szubienice, ostrzą się topory katowskie, więzienia przepełnione, a oprócz tego poprostu chwyta się ludzi pewnego dnia i wsadza do kozy w poszukiwaniu wroga wewnętrznego, który w tysiącach odmian podnosi głowę spod ciężkiego buta hitleryzmu.

Uwieńczeniem tej epoki półrocznej ma być proces pod względem fałszu i okrucieństwa jeden z najmonstrualniejszych w historji nowoczesnej: proces rzekomych podpalaczy Reichstagu.

Wszędzie na świecie, gdzie żyje troska o sprawiedliwość i prawo, rozlega się wołanie w obronie Torglera i 3 Bułgarów, którzy odegrać mają w tym procesie rolę oskarżonych, zgóry skazanych na stracenie.

Poszczególni ludzie: rodzina Torglera w Niemczech, adwokaci bułgarscy, francuscy i holenderscy czynią bezskuteczne wysiłki, aby zapewnić tym 4 ofiarom minimum obrony przed trybunałem Göringa.

Pani Małgorzata Torgler ogłosiła list otwarty, w którym pisze, że obeszła wszystkich adwokatów w Niemczech z prośbą, aby podjęli się obrony jej męża. Niektórzy gotowi byli to uczynić, stawiali pewne warunki, aby ustrzec się od zemsty Göringa i jego oprawców, ale po przyjęciu warunków cofali swoją zgodę. P. Torgler pisze:

— Przekonałam się, że jest poprostu niemożliwością znaleźć dla mego męża obrońcę i że zostałam ograbiona z najbardziej elementarnego prawa, jakie posiada każdy człowiek."

Obrońców Francuzów nie dopuszczono do obrony, a adwokat bułgarski w Berlinie nie może uzyskać widzenia ze swoimi trzema klijentami. Ogłosił on, że według jego przypuszczeń jeden z trzech Bułgarów popełni t. zw. oficjalne w więzieniach niemieckich samobójstwo.

Co do p. Dymitrowa — jego wróg osobisty Kosta Todorow listem otwartym stwierdził, iż oskarżenie go o udział w zamachu na sobór w Sofji jest kłamliwe i że niewątpliwie nowe oskarżenie niemieckie o podpalenie Reichstagu jest również nieprawdziwe.

Ukazały się zresztą w tym czasie pamiętniki Oberfohrena, który popełnił samobójstwo. Ten były poseł do Reichstagu — niemiecko-narodowy — wyraźnie opisuje, jak Göring zorganizował podpalenie Reichstagu.

Sprawa jest jasna i wyraźna, należałoby może tylko ustalić, co za rolę odegrał w tej ponurej historji van der Lübbe — niewątpliwy prowokator.

Ale reżim hitlerowski dąży do tego, aby w pierwszej połowie września do hekatomby zwycięstw dołożyć jeszcze głowę Torglera i 3 Bułgarów. Wtedy dopiero w „Nazilandzie" będzie całkowity tryumf. Zanim ten proces rozegra się, uczciwa opinja wszędzie winna podnosić głos przeciwko krwawej komedji sądu nad ofiarami Göringa, nad którymi znęca się on już od 6-ciu miesięcy. W bilansie rządów Hitlera ta pozycja jest realna i nie może być nigdy zapomniana.

Jest jeszcze jedna pozycja, o której pamiętać należy. Przypomniał o niej niedawno publicysta angielski J. Steel w książce p. t. „Hitler w roli Frankensteina".

Wylicza w niej tych potentatów kapitału, którzy w nadziei na wzrost militaryzmu i zamówień wojennych, związanych bezpośrednio z zwycięstwem nacjonal-socjalizmu, finansowali hitleryzm.

Na liście tych „ofiarodawców" figuruje towarzystwo międzynarodowe, a więc nietylko wielcy fabrykanci broni w Niemczech, ale i Ford i General Motors i Bank Morgana i Iwar Kreuger i wielki nafciarz Deterding i zakłady Skoda (czeskie) i Schneider Creusot (francuski).

Oto międzynarodówka, która czyha na krwawe żniwo hitlerjady na świecie.

Na krótki okres po zamknięciu konferencji londyńskiej, a przed sesją wrześniową Zgromadzenia Ligi Narodów na arenie polityki międzynarodowej zapanowuje pozorna cisza wakacyjna. Pod jej osłoną dojrzewają wydarzenia, których świadkami będziemy na jesieni, dojrzewają zmiany polityczne i socjalne, w których cieniu żyjemy już od dłuższego czasu.

St. Gr.

Sprawozdawca polityczny „Epoki", red. Stefan Grostern, wyjechał na kilkotygodniowy wypoczynek.

LISTY DO »EPOKI«

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze zdumieniem przeczytałem w „Kurjerze Warszawskim" artykuł p. Szarlitta, dotyczący jeszcze nieszczęsnej sprawy, w którym usiłuje dowieść, że narodowa demokracja broniła wówczas Stanisława Brzozowskiego od hańby i nie dawała wiary oskarżeniom, stawianym przez b. funkcjonarjusza ochrany carskiej. Mam żywo w pamięci całą sprawę i w imię prawdy muszę dziś stwierdzić, że z pośród ugrupowań polskich, nieprzychylne stanowisko wobec Brzozowskiego zajmowała socjal.-demokracja Król. Pol. i Litwy, lewica PPS., ugodowcy, klerykali i część wolnomyślicieli z Andrzejem Niemojewskim na czele. Ten ostatni, świeć Panie nad jego duszą, pisał o Brzozowskim artykuły, utrzymane w gwałtownym tonie, zaś inne pisma, między innemi endecki „Goniec" — gorliwie mu sekundowały. Roczniki pism warszawskich z 1903 — 1908, niewątpliwie oświetlić mogą, jak wrogo i napastniczo ustosunkowała się endecja wobec ś. p. St. Brzozowskiego. Natomiast ś. p. Wacław Nałkowski i wszyscy koledzy z „Głosu" J. Wł. Dawida — bezpartyjni socjaliści, znakomici pisarze, literaci, uczeni, w sposób entuzjastyczny bronili Brzozowskiego, widząc w nim ofiarę podwójną: ochrany carskiej i rodzimej reakcji. Ścisłość przyznać każe, że zaślepieni socjaliści z pod znaku S. D. K. P. i L. i lewicy P. P. S., częściowo ze względów partyjnych napadali też na Brzozowskiego. Ale w każdym razie usiłowania p. Szarlitta, zmierzające do wybielenia endecji, obliczone są chyba na ignorancję dzisiejszych czytelników, pamiętamy bowiem wszyscy, że właśnie narodowa demokracja odsądziła Brzozowskiego od czci i wiary, nie mogąc mu nadto przebaczyć całej jego kampanji antysienkiewiczowskiej. Przecież znany był swego czasu skandal w cukierni Tura, gdzie napadł czołowy pisarz „Kurjera Warszawskiego" ś. p. Wł. Rabski na ś. p. J. Wł. Dawida, obrońcę Brzozowskiego. Tak się właśnie wyładowała naelektryzowana atmosfera i gorączkowe nastroje, panujące w obozie endecji z jednej strony i w obozie radykalnego „Głosu", reprezentującego grupę J. Wł. Dawida, W. Nałkowskiego i Brzozowskiego.

Tyle w imię objektywnej prawdy, którą po trzydziestu niemal latach usiłują niektóre osoby w sposób fałszywy oświetlić.

Z poważaniem

J. P.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Zygmuntowi R. w Przemyślu. Dziękujemy.

Panu dr. F. G. w Krakowie. Rzecz b. powierzchowna, jak sam Pan przyznaje. Nie możemy zamieścić.

Pani Helenie W. w Krynicy. W każdej sprawie trzeba wysłuchać dwie strony. Czytała Pani „Gazetę Warszawską" i na tem opiera Pani swój sąd. Przedwczesny. Niech Pani przeczyta, co pisze strona przeciwna. Trzeba to zestawić, porównać, ustalić fakty bezsporne, a dopiero potem ferować wyrok. Tak nakazuje elementarna uczciwość. Św. Augustyn pisał: *Timeo hominem unius libri.* (Lękam się człowieka jednej książki). Możnaby powiedzieć: lękam się człowieka jednej gazety... A jeżeli to jest czytelnik jednej tylko „Gazety Warszawskiej", głowę ma pełną kłamstw, myśl jego jest zmącona, krytycyzm w zaniku. Za to „poglądy" ma niezachwiane...

Panu Aleksandrowi J. w Sosnowcu. Wysłaliśmy wszystkim. Za miłe słowa dziękujemy.

Panu Leonowi M. w Poznaniu. Nie do druku. Za dużo „wyobraźni", za mało prawdy.

Panu M. Cz. w Warszawie. Zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Epoki".

Pani Janinie K. w Krakowie. Prace Zespołu Literackiego „Przedmieście" drukujemy od poprzedniego n-ru „Epoki".

Panu Władysławowi L. w Zawierciu. Jest to sprawa prywatna. Nie nadaje się do rozstrząsania publicznego.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI. Z.- 516 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.